

Bp Alvaro. Cz.3. Pierwsza młodość

Kolejny fragment wspomnień Salvadora Bernala o Bp Alvaro del Portillo, pierwszym następcy św. Josemarii Escrivy. W 2004 r. rozpoczął się jego proces kanonizacyjny.

31-08-2007

Álvaro del Portillo otrzymał ludzką i chrześcijańską formację w szkole Najświętszej Maryi Panny z Pilar , którą prowadzili marianiści przy ulicy Castelló 46 w Madrycie.

Ze względu na pewne cechy temperamentu był raczej energiczny. W dzienniczku szkolnym nauczyciel zawiadomił na piśmie rodziców: „Jego charakter można delikatnie określić jako nieco ostry”. Zaś don Ramón dopisał:

– Jak to delikatnie? Zdecydowanie! – tak bardzo był przekonany o silnym charakterze swojego syna.

W owym czasie Álvaro musiał zrobić jakieś duże głupstwo w szkole, dlatego że nauczyciel, don Genaro, chwycił go za nogi, głową w dół, i wywiesił go za okno klasy mówiąc z dużym wdziękiem, jako że był niezwykle sympatycznym człowiekiem:

– Jeśli zrobisz to jeszcze raz, to cię puszcze.

Zawsze, kiedy słuchałem szkolnych wspomnień biskupa Álvaro, wspominał z wdzięcznością tak

wielu dobrych nauczycieli, którzy przyczynili się do jego formacji intelektualnej i praktykowania wiary, jaką otrzymał na chrzcie świętym. Zdołałem zatrzymać w pamięci tylko nazwisko nauczyciela kaligrafii Eduardo Coteló, autora książek i zeszytów bardzo popularnych w pierwszych trzydziestu latach dwudziestego wieku. Po upływie wielu lat biskupowi Álvaro sprawiło radość, kiedy się dowiedział, że Założyciel Opus Dei również używał w swojej szkole zeszytów Eduardo Coteló.

Dawni koledzy, obecnie już zaawansowani wiekiem, wspominają nadal postać Álvaro, z którym dzielili tyle trudów w klasach i na dziedzińcach szkoły, kiedy odbierali edukację podstawową i średnią. Niektórzy nie potrafią wyjaśnić, dlaczego nie zatarł się w ich pamięci, chociaż rozumieją, że może to wydawać się zaskakujące, zwłaszcza

jeśli mieli z nim kontakt tylko w okresie szkolnym. Myślą, że przyczyna leży we wrażeniu, jakie wywarła na nich kiełkująca w nim prawość, jego autentyczna dobroć.

Wśród tych dawnych uczniów szkoły znajduje się Alberto Ullastres.

Wykładowca pierwszego Wydziału Nauk Politycznych i Ekonomicznych w Madrycie, który był ministrem handlu w 1957 roku i prowadził później rozległą działalność dyplomatyczną w Brukseli jako ambasador Hiszpanii przy Wspólnocie Europejskiej.

Przypomina sobie Álvaro del Portillo, pomimo że sam był w wyższej klasie. W każdym razie zazwyczaj jest odwrotnie. To uczniowie niższych klas zwracają uwagę na niektórych uczniów z klas wyższych. Jednakże przez długi okres klasy Alberto i Álvaro codziennie spotykali się na przerwie. Alberto prawie zawsze chodził grać w piłkę nożną, w górnej

części dziedzińca. Po przeciwnej stronie inni uczniowie bawili się grając w pelotę przy frontonie. Mniej więcej w środkowej części przebywali intelektualiści, którzy woleli poświęcać ten wolny czas pogawędkom na interesujące tematy, co nie oznacza, że nie lubili sportu... Alberto Ullastres uważa, że Álvaro miał około dziewięćdziesięciu kolegów, których on zapomniał niemal zupełnie:

– Minęło ponad 65 lat – opowiadał mi 6 lutego 1995 roku tłumacząc się, że nie może przedstawić więcej szczegółów. – Jednakże – powtarzał – nie rozumiem, dlaczego tak głęboko wrył mi się w pamięć obraz opanowanego i spokojnego Álvaro gadającego z innymi, podczas gdy ja kopalem piłkę na boisku.

Inny kolega pamięta doskonale dzień, kiedy poznał Álvaro w październiku 1922 roku, świeżo po

przybyciu do swojej pierwszej szkoły:

– Skierowano mnie do klasy elementarnej poprzedzającej klasę wstępną i usiadłem nieśmiało w rzędzie pulpitów znajdującym się najbliżej okna, chyba w przedostatniej ławce. Po mojej lewej stronie siedział ośmioletni jak ja chłopiec, trochę grubawy, uśmiechnięty, o dobrodusznym i sympatycznym wyglądzie. Nazywał się Álvaro del Portillo. Dano mi książkę z czytankami a ja nie wiedziałem, co mam robić. Otworzyłem nieśmiało książkę i popatrzyłem przez ramię na Álvaro, żeby zobaczyć co czyta. Był to opis lwa autorstwa słynnego przyrodnika francuskiego Buffona. Jako że nie znałem zwyczajów panujących w mojej nowej szkole, myślałem, że trzeba to przeczytać i zagłębiłem się we wnikliwy opis słynnego przyrodnika. Był on tak ostry i

nieodpowiedni dla umysłu dziecka, że po kilku minutach potwornie mnie znudził. Jednakże, mimo wszystko naśladować zachowanie mojego sąsiada z ławki, który musiał być szkolnym weteranem, czytałem dalej.

W ten sposób tworzyły się głębokie przyjaźnie. Wielu pamięta uśmiech Álvaro, „dobrego dziecka, które lubiło pomagać innym”. Wszystko to Álvaro robił z wielką naturalnością, chociaż jeden z nauczycieli zapisał pewnego razu w jego dzienniczku: „błazen”. Nikt nie wie, skąd wzięło się to określenie. Przypuszcza się, że chodziło o jakiś dziecinny żart, który nie rozbawił surowego nauczyciela. „Álvaro – kończy jeden z kolegów – był „wesołym, miłym i sympatycznym chłopcem, trochę psocił i „błaznował” jak wszystkie dzieci”.

„My, którzy poznaliśmy go w szkole – napisał José María Hernández de Garnica, uczeń wyższej klasy – pamiętamy go jako wspaniałego towarzysza o szlachetnym charakterze i wielkiej odwadze.”

Z łatwością uczył się języków. Rozwój jego naturalnych zdolności ułatwiła decyzja ojca, aby poszukać nauczycieli, którzy codziennie przychodzili do domu. Wiele lat później biskup Álvaro wspominał swoje nauczycielki angielskiego Mrs. Hodges, francuskiego Mlle. Anne i niemieckiego (Biskup Javier Echevarría, obecny prałat Opus Dei, podał mi dwa pierwsze nazwiska, ale nie zdołał sobie przypomnieć sobie ostatniego z nich).

Od małego, jak przypomina sobie Pilar del Portillo, widać było wielkie zdolności umysłowe Álvaro. Jednakże nie wynosił się nad innych z powodu swoich zalet. Na przykład

„bardzo dobrze rysował, ale nie chwalił się tym. Przeciwnie, był pełen głębokiej prostoty i wielkiej skromności”.

Poza tym dostawał dobre stopnie. Po południu spędzał wiele godzin na nauce, obok balkonu, w pokoju, w którym mieszkał ze swoimi braćmi Pepe i Ángelem. Rozpoczął szkołę średnią w 1924 roku a ukończył ją w 1931.

Ci, którzy obcowali z nim za młodu, potwierdzają trzy cechy jego charakteru: naturalność, sympatyczne zachowanie, ciągłość po latach. Faktycznie, jeśli chodzi o jego zewnętrzny sposób zachowania, widząc go wiele lat później jako inżyniera, kapłana, biskupa..., odkrywali to samo naturalne postępowanie, identyczne otwarte spojrzenie, takie samo zainteresowanie nimi, jak przed laty.

Z pewnością głębokie i życzliwe było spojrzenie jego niebieskich oczu, ledwie ukrytych pod przezroczystymi szklami okularów. Mogłem to zauważyć, kiedy był już dorosły. Czasami, kiedy rozmawialiśmy podczas spotkań z członkami Dzieła, lekkim ruchem – spontanicznym, niezwykle szybkim – podnosił w górę źrenice, jakby komentował w ciszy Panu swoje wrażenie z tego, co mu opowiadamy albo prosił za osobami i dziełami apostołskimi, o których była mowa. Później szybko poruszał ręką dotykając czoła i znów mogliśmy podziwiać serdeczność jego oblicza. Również kiedy nadchodził czas modlitwy, sam na sam z Bogiem, albo odprawiania Mszy świętej, spojrzenie stawało się skupione, ale nie gasło. Było ożywione w szczególny i pogodny sposób.

Álvaro był inteligentny i uporządkowany. Nie lubił

improvizacji. Raczej postrzegano go jako osobę przewidującą i ostrożną. Kuzynka ze strony ojca Isabel Carles Pardo podkreśla jeszcze, że w ogóle nie był gwałtowny. Jeżeli go pytano albo proszono o coś, czego nie mógł rozstrzygnąć natychmiast, odpowiadał:

– Cóż, przemyślę to.

Nie chodziło jednak o wymówkę ani o pełne wahania niezdecydowanie, ani nawet o zwykłe zyskanie na czasie, tylko o zdolność refleksji, czynny spokój. Biskup Álvaro nie zapominał o sprawie, tylko działał później, z wielkim spokojem. Z drugiej strony, jeżeli jasno widział, co powinien zrobić, czasami od razu, zaczynał działać. Zawsze z opanowaniem, z uśmiechem, zachowując spokój i obdarzając nim innych.

Miał sympatyczny, ciepły, zwracający uwagę wygląd zewnętrzny. Kardynał

Ángel Suquía, arcybiskup Madrytu, który poznał go w 1938 roku, pamiętał go jako „młodego, wytwornego i miłego studenta”. I dodawał: „był to człowiek z istoty swej dobry, serdeczny w rozmowie, bardzo rozważny, a równocześnie bardzo wesoły i śmiały. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek rozstawał się z nim w mniej wesołym nastroju niż się spotkałem”.

Przyjął pierwszą Komunię świętą 12 maja 1923 roku będąc uczniem szkoły Najświętszej Maryi Panny z Pilar. Ceremonia nie odbyła się w szkolnej kaplicy, tylko w parafii Niepokalanego Poczęcia, przy ulicy Goi. Tego dnia po raz pierwszy przystąpiło do Komunii stu dziesięciu chłopców i dwie dziewczynki.

Od tego czasu Álvaro przyjmował bardzo często Jezusa Sakramentalnego, pomimo wysiłku związanego z obowiązującymi

wówczas przepisami dotyczącymi postu eucharystycznego . Faktycznie musiał wychodzić do szkoły na czczo. Później jadł śniadanie, które nosił zawinięte w papier w kieszeni. W szkole codziennie była odprawiana Msza święta, ale nie była ona obowiązkowa. Chodził na nią tylko ten, kto chciał.

Naturalnie Álvaro czynnie uczestniczył w innych praktykach pobożności, które odbywały się w szkole. Będąc już w dojrzałym wieku pamiętał pieśni intonowane podczas Drogi Krzyżowej.

– Ostatnia stacja: Złożenie Pana Jezusa do grobu – wspominał. – Powtarzaliśmy bardzo kiepskie wiersze, które pomagały jednak w poruszeniu duszy. Nadal mnie poruszają. Przytaczał następujące słowa: zamykają Króla cnót / ciężkie grobu kamienie / ale świata zbawienie / wyśpiewuje już lud. Tak

też jest. Bóg umiera, żebyśmy my żyli. Zostaje pochowany, żebyśmy mogli wszędzie dotrzeć. Dlatego lud wyśpiewuje zbawienie świata.

Chodził na Mszę również podczas letnich wakacji w La Granja, w latach dwudziestych, chociaż nie należał do żadnego pobożnego stowarzyszenia. Nawet nie lubił służyć do Mszy. Nigdy nie był ministrantem. Wolał uczestniczyć we Mszy jako jeden z wielu, z ławki. Nie chodził również do jednego kościoła, co wówczas było czymś normalnym. Krążył między kolegiatą, klasztorem klarysek, parafią Chrystusa i kaplicą Boleści NMP. Wspominał z uczuciem ową wspólnotę klarysek z La Granja, chociaż równocześnie z bólem, dlatego że musiały opuścić swój klasztor. Chodził do nich w lecie 1935 roku, kilka tygodni po tym, jak odpowiedział na Boże wezwanie, żeby prosić je o modlitwy za Opus Dei.

Poznałem niektóre z tych szczegółów pewnego popołudnia w lipcu 1978 roku, po tym, jak towarzyszyłem prałatowi Álvaro w modlitwie różańcowej w parafii Chrystusa. Przyjechaliśmy od strony drogi łączącej Sorię i Segowię, na wysokości Torrecaballeros. Opowiedział nam przy okazji, że na drodze między La Granja a Torrecaballeros, kiedy był mały, w lecie po raz pierwszy jeździł na rowerze. Wspominał również swoje odwiedziny Najświętszego Sakramentu, kiedy, będąc już młodzieńcem, o zmierzchu powracał z wędrówki z przyjaciółmi.

Spędził wiele letnich wakacji w La Granja, w domu przy ulicy la Reina pod numerem 11, w pobliżu pałacu królewskiego. Nie wiem, czy był to ten sam dom, w którym spędzali lato również dziadkowie ze strony ojca. Wiele lat później, mówiąc o Eucharystii, biskup Álvaro

wspomniał zachody słońca w Kastylii. Niewątpliwie obraz ten wyrył mu się w pamięci podczas wakacji i przeżywał go później, kiedy wraz z Założycielem Opus Dei przyjeżdżał do Molinoviejo, również u podnóża gór, niedaleko Segowii:

– Jako że jest to ogromna równina, w oddali widać zachodzące słońce. Kiedy już wydaje się dotykać ziemi, wygląda to jak pożar. Całe niebo jest zabarwione na czerwono a słońce na tysiąc kolorów. Jest to tylko złudzenie optyczne, dlatego że naprawdę słońce nie dotyka ziemi... Natomiast kiedy przyjmujemy Pana – który jest o wiele większy niż słońce, jest Słońcem nad słońcami – w Eucharystii i dotyka On naszego ciała i naszej duszy... jakież cud musi się w nas odbywać! Jakże rozpala się nasza dusza w kontakcie z Chrystusem! Jak bardzo przeobraża ją łaska!

Któregoś roku podczas wakacji przybył do pewnego miejsca w Asturii o nazwie La Isla. Mogło to być na początku lat trzydziestych, zgodnie z tym, co usłyszałem od niego przy okazji w lipcu 1976 roku. Nawiązał tam przyjaźń z rodziną José Maríi Gonzáleza Barredo, urodzonego w pobliskiej Colundze. José María poprosił o przyjęcie do Opus Dei około 1932 roku. Natomiast, jak zobaczymy, poznanie jego ojca, który też miał na imię Álvaro, okaże się decydujące dla ponownego spotkania Álvaro del Portillo ze Św. Josemarią Escrivá w czasie hiszpańskiej wojny domowej.

Kiedy poznałem La Isla, miejscowość otwierającą się na wspaniałe widoki Morza Kantabryjskiego, zrozumiałem to, co słyszałem od prałata Álvaro. Podczas tamtych wakacji w latach trzydziestych spędził wiele czasu podziwiając przyrodę i nawet bez jasnej

świadomości modlitwy rozmawiał z Bogiem i dziękował Mu za stworzenie tak pięknej natury:

– Wówczas Pan zaczynał już wchodzić do mojej duszy – zakończył.

W La Isla miało miejsce istotne w jego młodości wydarzenie. Pewnego dnia umówił się z przyjaciółmi na wycieczkę motorówką. Zamierzali popłynąć morzem do Ribadesella. Nie pamięta z jakiej przyczyny w ostatnim momencie zdecydował, że nie pojedzie. A tymczasem niespodziewanie zerwał się nad Morzem Kantabryjskim porywisty wiatr północno-zachodni. Zanim zdążyli powrócić do portu, słaba łódź zatonała i wszyscy się utopili z wyjątkiem jednego z nich, najmłodszego, który zdołał dopłynąć do brzegu mimo silnej fali. Kiedy walczył z morzem, obiecał, że jeśli się uratuje, poświęci swoje życie Panu.

Wkrótce potem wstąpił do seminarium w Valdediós.

Biskup Álvaro mówił, że wówczas wyryło mu się w pamięci niespodziewane użycie przymiotnika ładny, tak częstego w Asturii. Po dramatycznym, strasznym pogrzebie tych dziesięciu czy dwunastu przyjaciół usłyszał, jak pewna kobieta z wioski mówiła:

– Jaki to był ładny pogrzeb!

Wiele lat wcześniej przydarzyła się w Madrycie inna tragedia. Kiedy prałat Álvaro opowiadał o niej przy okazji, pomyślałem, że, zachowując wszelkie proporcje, widać tu było pewną opiekę ze strony Bożej Opatrzności.

Pewnej niedzieli pod koniec letnich wakacji, kiedy wszyscy byli już w Madrycie, jego starszy brat zapragnął zabrać go do teatru Novedades, gdzie grano zarzueleę mistrza Alonso. Ostatecznie nie poszli – Álvaro

również nie pamiętał z jakiego powodu, podobnie jak w przypadku wycieczki w La Isla. W tym samym dniu zdarzył się okropny pożar, który całkowicie zniszczył ten słynny madrycki teatr o 900 miejscach, otwarty w 1857 roku przez królową Izabelę II. Zdarzyło się to w niedzielę, 23 września 1928 roku. Wystawiano wówczas zarzuelę La mejor del puerto z muzyką Francisco Alonso do słów Fernándeza Sevilli y Carreño. Teatr był zapełniony do ostatniego miejsca. Pożar rozprzestrzenił się z niezwykłą szybkością i spowodował takie zamieszanie, że ratunek stał się prawie niemożliwy pomimo wysiłków strażaków, którzy mogli tylko zapobiec zapaleniu się sąsiednich domów. Na dramatyczny sposób było to bardzo widowiskowe. Według kronik owych dni płomienie widziano z miejscowości Vallecas, Getafe czy Pinto. Zginęły sześćdziesiąt cztery osoby a setki

odniosło rany i obrażenia ciała. Bardziej niż sam ogień największą liczbę ofiar spowodowała panika przy próbach ucieczki. Wiele osób zginęło zmiażdżonych, zdeptanych w pobliżu wyjść.

Nie wiem, czy biskup Álvaro zaakceptowałby to, co przypisuje się Oskarowi Wilde, że jego ojczyzną było dzieciństwo. Jednakże zawsze odczuwał wielką sympatię do miasta, w którym się urodził. Widać było u niego iskrzącą radość, kiedy przyjeżdżał do swojego Madrytu. Człowiek tak bywały w świecie bardzo dobrze czuł się w tym mieście. Uważał się za prawdziwego madrytczyka.

Podczas pobytów w Madrycie wymykały mu się pełne czułości zdania. Czasami zwykłe wiadomości dotyczące miasta, jak ta, kiedy wyjaśnił nam, że dawny plac Manuela Becerry, później plac

Rzymski, był popularnie znany przez lata jako plac Radości. Nazwa pochodziła stąd, że tam porzucano żałobę podczas pogrzebów kierujących się na cmentarz La Almudena. Dalej szły już tylko osoby z najbliższej rodziny. Reszta zawracała bardzo zadowolona.

Zachował ów dobry humor, autentycznie madrycki, który dostrzegano w szybkości odpowiedzi i w łatwości puentowania cudzych słów, a także używania wyrazów o podwójnym znaczeniu. W 1990 roku byłem świadkiem, jak żartował z Umberto Farrim, który wyjeżdżał z Rzymu do Chile:

– Powiedz im, że darzę ich szacunkiem i chciałbym bardzo odwiedzić..., ale że pozostaję z szacunkiem.

Wkrótce później, w lipcu 1991 roku, przyjechał do ośrodka Opus Dei w Iza (Nawarra). Lekarze zalecali mu

bez przerwy, żeby spacerował, dlatego że ćwiczenia fizyczne mu służyły. Po południu mówiąc o pobliskich miejscach, w których można by spacerować, ktoś wspomniał również, że na dziedzińcu gospodarstwa można spacerować i odmawiać o zmierzchu różaniec:

– Będzie chłodno i taki spacer będzie zdrowy.

Don Álvaro zauważył z uśmiechem:

– Ciekawe, czy widzieliście kiedyś chory spacer?

Z Juanem Francisco Montuenga żartował na temat wydarzeń z czerwca 1976 roku. Podczas długiego pobytu prałata Álvaro w Madrycie – pierwszego po wyborze na następcę Założyciela – otrzymał sporo podarunków: przedmioty artystyczne, książki, kwiaty i dużo sympatycznych drobiazgów, czasami

również pewne sumy pieniędzy. Zdecydował się przekazać je na dzieła apostołskie w Hiszpanii, które dyrektorzy uznają za odpowiednie. Juan Francisco dziękował mu wobec innych „za uniwersalny zmysł, którym nas obdarował”. Zaś prałat Álvaro podsumował to krótko:

– A zatem forszę nazywasz uniwersalnym zmysłem.

Od tego czasu miał zwyczaj pytać go, jak stoi z uniwersalnym zmysłem, kiedy chciał się dowiedzieć, czy ma jakieś problemy finansowe.

Z delikatnością, ale również z poczuciem humoru biskup Álvaro przyjmował żarty i karykatury na swój temat w miejscach, przez które przejeżdżał. Jest zrozumiałe, że mieszkając w Rzymie od 1946 roku, używał zwrotów typowych dla narodu włoskiego. Aby podkreślić znaczenie bycia zupełnie szczerym w

kierownictwie duchowym podawał następujący przykład:

– Nie możemy się oszukiwać, jak pewien pan, o którym opowiada się we Włoszech, że jadł makaron z zamkniętymi oczami, bo lekarz powiedział mu, że makaronu nie wolno mu nawet oglądać.

Jednakże nigdy nie stracił swojego akcentu, który – jak wskazywał Enrique Chirinos w artykule opublikowanym w gazecie El Comercio w Limie 22 marca 1994 roku z okazji osiemdziesiątej rocznicy biskupa Álvaro – był „słabszy, łżejszy niż zwykle u Hiszpanów”. Przy czym, również jak porządny madrytczyk mówił szybko uważając wszystko za jasne i urywając zakończenia zdań. Ta szybkość utrudniała tłumaczenie symultaniczne, jeżeli słuchający nie znali hiszpańskiego. Sam biskup Álvaro przypominał z rozbawieniem

historyjkę ze spotkania w Miami w 1988 roku, kiedy to poproszono go, żeby mówił wolniej:

– Na zakończenie ostatniego synodu, kiedy wszyscy występowali w swoim własnym języku, miałem do dyspozycji zaledwie trzy minuty, a ponieważ chciałem powiedzieć o wielu sprawach, zacząłem mówić szybko. Natychmiast zapalił się świecący napis. Osoby wykonujące tłumaczenie symultaniczne wskazywały mi w ten sposób, że mówię za szybko. Przeprosiłem je wówczas po łacinie: *habeatis me excusatum, sum hispanus*, przebaczcie mi, jestem Hiszpanem. Trochę się śmiali i już dalej mówiłem wolniej.

Prałat Álvaro objawiał swoje sympatyczne madryckie poczucie humoru do ostatnich chwil przed śmiercią. O świcie 23 marca 1994 roku zadzwonił do ks. Javiera

Echevarría, dlatego że miał trudności z oddychaniem i czuł, że serce tłucze mu się w piersi. Ks. Javier przybył niezwłocznie i wezwał lekarza. José María Araquistáin przybył natychmiast, dlatego że również mieszkał w Villa Tevere i tuż przedtem towarzyszył biskupowi Álvaro w jego pielgrzymce do Ziemi Świętej. Zdawszy sobie sprawę z powagi sytuacji, wyszedł po butlę tlenową. Kiedy opuszczał pokój, don Álvaro zobaczył go w krótkim fartuchu i zapytał:

– Mój synu, co ty masz na sobie?
Burnus?

– Nie, Ojczy, to kimono –
odpowiedział ze spokojem José
María.

Tym bardzo delikatnym żartem pomógł mu złagodzić wielkie napięcie, ponieważ był świadomy niezwykle ciężkiego stanu biskupa Álvaro.

.....

pdf | dokument generowany
automatycznie z [https://opusdei.org/pl-
pl/article/bp-alvaro-cz3-pierwsza-
modosc/](https://opusdei.org/pl-pl/article/bp-alvaro-cz3-pierwsza-modosc/) (05-03-2026)